

Magneplanar MG12/QR

· Wayne Garcia (Fi)

"Straciłem (i znalazłem) swoją religię"

Spójrzmy prawdzie w oczy: przyjmowanie rzeczy za oczywiste jest częścią natury ludzkiej. Im lepiej coś znamy, tym mniej zwracamy na to uwagę. Weźmy na przykład moją historię z Magneplanarami...

Pewnego dnia na początku lat 70-tych zaszedłem sobie do Garland Audio, najbardziej egzotycznego salonu hi-fi w San Francisco tamtych czasów, i usłyszałem muzykę odtwarzaną w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem. Nawet nie wyobrażałem sobie, że coś takiego jest możliwe. Odtwarzaną płytą był wspaniały Turandot pod dyktando Mehta z Pavarottim, Sutherland i Caballé (Decca/London). Operowe spaghetti i zupa chińska Pucciniego nie wydobywały się z pary tradycyjnych głośników pudełkowych, ale z pary urządzeń, które wyglądały jak złożone parawany. Mój kolega z pracy żartował, że powinno się je wystawiać ze stanikiem i parą pończoch niedbale przerzuconymi przez górną krawędź, jak na komicznym obrazku kawalerskiej sypialni w Playboyu. Tymi głośnikami były Magneplanar Tympani 1U. Zatkąło mnie! W porównaniu do wszystkiego, co słyszałem wcześniej, muzyka dochodząca z tych głośników wydawała się o wiele bardziej realistyczna. Ich akustyczna przejrzystość pozwalała im „zniknąć” i otworzyć ogromne okno na muzykę, która wręcz tętniła życiem. Wydawało się, że nie tylko dźwięk, ale wręcz dusze samych muzyków były obecne w pomieszczeniu. Wtedy nie miałem miejsca na parę trzypanelowych Tympani, o wymiarach 180cm x 120cm x 2,5cm, co świetnie szło w parze z faktem, że nie miałem też pieniędzy ani na głośniki, ani na wystarczająco duże zasilacze, żeby je uruchomić.

Ale wkrótce pojawił się jedнопanelowy Magneplanar MG11 za o wiele przystępniejszą cenę i o wiele łatwiejszy do ustawienia i obsługi. Nabyłem parę, zabrałem do domu i chłonałem muzykę jak gąbka. Jedną z płyt, które zdałem, był Harry James z swoim big bandem i jego „pierwsze i najlepsze nagranie bezpośrednio na płycie” z Sheffield Labs w wersji Kinga Jamesa. Zabawne... Nawet nie byłem fanem muzyki bigbandowej. Chodzi mi o to, że ja – jak każdy nastolatek w tamtych czasach – grałem na gitarze w kiepskiej kapeli garażowej, oczywiście uwielbiałem rock'n'rolla (zwłaszcza angielskiego, a żeby tego dowiedzieć, przymocowałem flagę Wielkiej Brytanii na przodzie swojego głośnika gitarowego domowej roboty), a od kilku lat słuchałem muzyki klasycznej. Ale big bandy?? – to była muzyka w stylu moich rodziców. Czy istniało coś nudniejszego? Ale dla mnie te nagrania miały magię. Po pierwsze, muzycy potrafili swingować. Angażowali w grę całych siebie. Lecz muszę przyznać, że najbardziej urzekło mnie samo piękno dźwięku. Po dziś dzień pamiętam niemal magiczne wrażenie muzyków rzeczywistych rozmiarów grających na prawdziwych instrumentach, którzy nie byli uwięzieni w pudełku, jak jakiś sfrustrowany papież na obrazach Francisca Bacona, ale wydawali się stać w tym samym pokoju, gdzie mnie szczeka opadała z podziwu.

Kilka lat później, zamiast szukać normalnej roboty, zacząłem pracować w sklepie ze sprzętem audio. Sprzedawałem też wiele Magnepanów. Wątpliwości pod tytułem „one są za duże do mojego pokoju” zazwyczaj zniknęły, gdy klient posłuchał nagrania. Ale potem przychodziły i odchodziły nowsze, bardziej atrakcyjne i bardziej „ustawne” głośniki, a Magneplanary po prostu siedziały w sklepie – wstyd to przyznać – ignorowane. Co jakieś trzy do pięciu lat Magnepan wprowadzał nowszy model, ale, cóż... wiadomo, brałem je za coś oczywistego. I do całkiem niedawna nie miałem Magnepanów w domu przez co najmniej 15 lat.

Dobra, przygotujcie się, bo pewnie wielu z Was uzna to, co nastąpi, za nudny banał. Prawdopodobnie dojdziecie do wniosku, że to tylko stek przesadnej, łzawej tęsknoty recenzenta za przeszłością. Ale wiercie mi, wcale tak nie jest. Po prostu powiem tylko, że najnowszy model Magnepana – dwudrożny MG12/QR z quasi wstążką, dostępny w zadziwiająco przystępnej cenie należy do najbardziej realistycznie brzmiących głośników, jakich słuchałem w ostatnich czasach. I

choć designer Jim Winey i chłopcy z White Bear Lake, Minnesota, skąd wywodzi się firma, przez lata wprowadzali duże udoskonalenia do tych cacek, to wiecie, co? Powody, dla których polubiłem te głośniki 25 lat temu, są dokładnie takie same, dla których lubię je dziś. Jeśli śledzicie Fi, to wiecie, że nie jestem odosobniony w tych uczuciach. Nasz redaktor naczelny Jonathan Valin już od jakiegoś czasu wychwala te płaskie panele pod niebiosa. I mimo że Jonathan i ja mamy podobne gusta akustyczne, a przez ostatnie kilka lat słyszałem przeróżne Magneplanary na pokazach, to chcę Wam jeszcze raz przypomnieć, że dopóki nie spędzicie trochę czasu w domu z parą tych głośników (czy też jakimkolwiek innym elementem zestawu audio), słowa na papierze, nawet najbardziej oszałamiające, nie są w stanie odzwierciedlić nawet ułamka wrażeń, jakie wywołuje słuchanie. (Więc nie wierzcie tej recenzji i posłuchajcie ich sami.)

Najpierw zwróćcie uwagę na następujący fakt: Magneplanary nie są super dlatego, że robią pokazy akustycznej pirotechniki, które zachwycają audiofilów (np. holograficzne obrazy wykonane techniką laserową, czystość tak wyjątkowa, że można dokładnie policzyć muzyków Filharmonii Nowojorskiej, itp.). One są super, bo brzmią bardziej podobnie do muzyki na żywo niż większość innych głośników, nawet jeśli nie „pokażą” tyle samo, co inne dobre głośniki (choć w rzeczywistości pokazują, ale w inny sposób, i postaram się to wyjaśnić). Magneplanary są bardzo dokładne (a większe modele są jeszcze bardziej dokładne niż MG12/QR), ale jest to inny rodzaj szczegółów niż pokazują inne, nawet elektrostatyczne, głośniki. Szczegóły Magneplanarów są muzyczne. Jonathan Valin nazywa je „akcją”; ja określam je bliskością lub obecnością instrumentu. Sposób wypełniania pokoju dźwiękiem jest jedną z podstawowych różnic pomiędzy muzyką na żywo i tym, co zazwyczaj uzyskujemy w domu z naszego technicznie zaawansowanego, ale dziwnie prymitywnego (w porównaniu z rzeczywistym brzmieniem) zestawu elektroniki. O tym mawiał Ivor Tiefenbrun z Linn: gdy idąc ulicą słyszymy muzykę z otwartego okna, natychmiast wiemy, czy jest grana przez prawdziwego człowieka, czy też dobiega z zestawu stereo. Bez wątpienia żadne zwykłe gadki audiofilów nie są w stanie opisać dźwięku – on po prostu jest. Wszyscy chcemy to uzyskać od naszego sprzętu grającego: uczucie bezpośredniego połączenia z muzykami, gdzie sterta pudełek, kabli i elektronicznych gadżetów nie wchodzi w drogę. Przy Magnepanach właśnie to dostajesz. Ale nie dlatego, że są przejrzyste (choć są), ani szybkie (choć są, i to bardzo), ale dlatego że sposób w jaki panele wypełniają nasze pokoje dźwiękiem w połączeniu z wyjątkową czystością toniczną, jaką mogą zapewnić tylko pełnozakresowe panele, daje nam nie tylko zbitkę niepołączonych ze sobą nut, ale zachowuje logiczne przejście jednej nuty w drugą.

Mark Lehman w swojej recenzji Totem/PSB na innej stronie tego wydania opowiada historię, jak po koncercie Jonathan Valin porównał różnicę pomiędzy doznaniem muzycznym na żywo a doznaniem przy domowym stereo do oglądania obrazu osobiście a oglądania reprodukcji w książce. Też rozmawiałem o tym z Jonathanem Valinem mniej więcej w tym samym czasie, więc chciałbym trochę rozwinąć temat.

Wyobraź sobie, że stoisz przed wspaniałym obrazem w muzeum, np. autoportretem Van Gogha. Obecność obrazu, jako wytworu rąk ludzkich, jest niezaprzeczalna, prawda? Istnieje nie tylko dzięki ewidentnemu istnieniu chropowatego płótna, czy też plam i zawijasów farby, lub śladów pędzla, ale dzięki obecności samego Van Gogha – jego niewątpliwy „odręczny podpis”. Malując obraz, Van Gogh stał mniej więcej w tej samej odległości od płótna, co Ty teraz, ale jego mistrzostwo – sama sztuka malowania – jest nierozłączną częścią obrazu, jaki stworzył. Jego emocjonalne pociągnięcia pędzla cechuje taka sama spontaniczność, z jaką Coltrane improwizował solówki. Każde pojedyncze pociągnięcie pędzla jest tak samo ważne dla całości kształtu obrazu, jak każda nuta dla całości kompozycji. Różnica polega na tym, że pociągnięcia pędzlem są uwiecznione w czasie i przestrzeni, a nuty znikają jak spadające gwiazdy.

Wychodząc z muzeum, zatrzymujesz się w sklepiku z pamiątkami. Kupujesz album z reprodukcją autoportretu. Zabierasz album do domu, otwierasz, przeglądasz kilka razy i... prawdopodobnie

nigdy więcej do niego nie wracasz. Dlaczego? Przecież zawiera dobre reprodukcje. Kolory są dość zbliżone. Wszystko wydaje się być na miejscu, tylko – oczywiście – w pomniejszeniu. Widzisz najdrobniejsze szczegóły, ale pociągnięcia pędzla są wyraziste. Album zawiera nawet powiększone zdjęcia pociągnięć pędzla. Powód, dla którego urzekł Cię obraz, a do albumu nigdy nie zaglądasz, jest prosty: w porównaniu do rzeczywistości reprodukcja w albumie jest martwa. To, co w oryginale jest wspaniałe, porywające i nie pozwala oderwać wzroku, w reprodukcji – nawet bardzo dobrej – zostało zastąpione statyczną bezosobowością, która intelektualnie i emocjonalnie jest równie fascynująca, co talerz zimnej owsianki. Taki właśnie bywa sprzęt audio, kiedy wydaje się, że wszystko jest „jak trzeba”, ale z jakiegoś powodu traci się kwintesencję muzyki. Niby wszystko jest, ale skradziono duszę muzyki, a przynajmniej zmieniono ją tak bardzo, że utwór wypada blado w porównaniu z wykonaniem na żywo.

A teraz przypuśćmy, że widziałeś na wystawie inny obraz umieszczony za szybą ze szkła. Szczegóły kolorów, faktury i linii są lekko rozmyte, ale duch obrazu pozostaje nietknięty. Innymi słowy, szyba wciąż stanowi barierę na drodze do oryginału, powoduje nieznaczne zniekształcenia barwy, linii i faktury, a ponadto odbija światło i refleksy innych przedmiotów i ludzi w pomieszczeniu, ale dusza obrazu pozostaje prawdziwa. Właśnie ta zdolność przybliżania nas do rzeczywistości pomimo barier powstałych w procesie nagrywania/odtworzenia, podobieństwo do przezroczystej szyby, a nie tylko do zdjęcia w albumie, czyni z Magneplanarów wspaniałe głośniki.

Dotarło to do mnie pewnego wieczoru, kiedy słuchałem The Complete Candid Recordings of Charles Mingus, wydane przez Mosaic. Brzmienie saksofonu altowego Erica Dolphy'ego było bliskie ideału – aksamitne, ciepłe, migotliwe – ale to właśnie wyjątkowa obecność instrumentu sprawiła, że podskoczyłem z zaskoczenia. Taki dźwięk zdarza się w koncertach na żywo, ale rzadko kiedy z playbacku. Ta bliskość, ten brak zakłóceń elektro-mechanicznych wynikają ze (względnie) braku zabarwień drgań przetwornika Magneplanara. A dzięki temu mogłem wsłuchiwać się w to, co wyprawia Dolphy, wręcz w to, co myśli.

Pojęcie przebarwienia dźwięku przez przetwornik nie jest niczym nowym. Często się mówi, że tweetery z metalową kopułą brzęczą, a niektóre subwoofery o podstawie plastikowej lub aluminiowej także dodają własne dźwięki. Owszem, przetwornik wstęgowo-magnetostatyczny Magnepana i – w mniejszym stopniu – quasi wstążka (ale już nie tweeter z prawdziwą wstążką) dodają lekko chropowaty, trochę bezbarwny dźwięk, który niektórym odbiorcom przeszkadza więcej niż innym. (Bardzo wczesne Magnepany były z tego znane.) Jestem w pełni świadomy tego (względnie słabego) przebarwienia w MG12, ale dla moich uszu jest to o wiele mniej niepożądane zjawisko niż jawne koloryzacje głośników pudełkowych i szumy przetworników w głośnikach dynamicznych. Myślę, że głównym powodem jest to, że przetwornik wstęgowy ma jednolitą postać w całym zakresie częstotliwości, więc te przebarwienia nie są aż tak zauważalne, jak w przypadku innych głośników.

A wracając do Mingusa i przyjaciół – dźwięk kontrabasu Mingusa i kawałek „Melody From The Drum” przypomniał mi, jak wspaniałe, naturalne i pozbawione dodatkowego rezonansu potrafią być basy Magneplanara. Dobrze nagrane basy są zaskakująco realistyczne. W końcu głośniki są naprężonymi membranami bębna. Chcecie usłyszeć pałki Dannie'ego Richmonda walące w werble z przerażającą mocą połączoną jednocześnie z lekkością, jaką w rzeczywistości mają te bębniarki (jak skakanie po kamieniach przez rzekę)? Chcecie poczuć rozmiar samego werbla – w pełni, a nie w miniaturce? Chcecie zobaczyć fakturę membrany z taką łatwością, że będziecie mogli sobie wyobrazić powierzchnię startą i poczerńiałą od częstych uderzeń? To posłuchajcie tego utworu na Magneplanarach. I nie tylko werble, ale wszystko od bębna wielkiego, przez kotły do szeregu talerzy – MG12/QR pięknie tworzy cały zestaw perkusyjny w bardzo przekonujący sposób. (Będę obstawał przy tym, że możliwość usłyszenia dokładnego rozmieszczenia instrumentów względem siebie w utworze nie jest jedynie trikiem hi-fi, ale kluczowym elementem poczucia obecności.)

W Magneplanarach odkryłem wiele innych detali muzycznych. Na przykład, słyszałem 20-bitową wersję Sinatra at the Sands [Reprise] z milion razy i na przeróżnych sprzętach. Ale gdy usłyszałem ją na 12/QR, odkryłem sposób wyrażania w tekstach Sinatry, którego nigdy wcześniej nie zauważałem. Drobnostki? Z pewnością, ale jak to przyjemność je odkrywać. Np. sposób, w jaki wrzuca słowo "kiss" w „Fly Me To The Moon”: „In other words/hold my hand/ In other words/BABYkissssssMe!” Albo sposób, w jaki niewielkie akcenty trąbki z tłumikiem nieśmiało wychodzą na przód reszty zespołu, czy też kawałki gitarowe, które giną tak szybko jak fatamorgana, lub bębenki, które nadają charakteru frazom jak pieprzyk podkreśla charakter twarzy Marilyn Monroe. Te „specjalne” dodatki nadały nowy wymiar mojemu zachwytowi tą muzyką – i sprawiły, że stała się jeszcze bardziej fascynująca i czarująca.

I tak dalej, i tak dalej. Jeśli jesteście fanami rocka, spodoba się Wam grany z prędkością rewolwerowca pojedynek gitar elektrycznych i perkusji Charlie’ego Watta w kawałku otwierającym „Start Me Up” Rolling Stones, z płyty Tattoo You [Rolling Stones Records] i sposób, w jaki te głośniki pokazują, jak przesadzona jest mieszanka multimonos "stereo" w Rubber Soul [EMI] i jak brzmienie gitar akustycznych w „Norwegian Wood” bardziej przypomina... gitary akustyczne, gdy plastikowe kostki są pocierane o wibrujące stalowe struny naciągnięte na drewnianym pudle. Głośniki wstęgowe brzmią zasadniczo inaczej niż głośniki ze źródłem punktowym. To jeden z powodów, dla którego instrumenty i głosy brzmią w nich tak naturalnie – zmienia się poziom dźwięku, a nie rozmiar instrumentów. Pamiętając o tym, trudno sobie wyobrazić duże dzieła orkiestrowe w lepszej oprawie, niż w tej, jaką tworzą Magneplanary: bardzo prawdziwa, rzeczywista i naturalnej wielkości scena dźwiękowa (która w moim pokoju przypominała wrażenia raczej z pierwszego rzędu w filharmonii niż z balkonu) i naturalna zdolność oddania pełni klimatu orkiestrowego.

Żadne brzmienie nie jest idealne dla wszystkich słuchaczy. Niektórzy wolą więcej prezentacji z przodu, jaką zapewniają głośniki dynamiczne, lub bardziej dobitne basy, albo też bardziej dźwięczące góry. W porządku. Ale pokażcie mi głośnik, który potrafi zaprezentować pełen zakres częstotliwości, wszystkie barwy dźwięków instrumentów i samą przestrzeń akustyczną. Pokażcie mi głośnik, który umie stworzyć scenę dźwiękową i pomieścić na niej wszystko od harmonijki Dylana do Chicagowskiej Orkiestry Symfonicznej w taki sposób, że – jak zamkniesz oczy – dźwięki są tak bardzo zbliżone do tego, co w słyszymy w rzeczywistości. I wreszcie pokażcie mi głośnik, który może zaoferować taką jakość i wieloletnią niezawodność, a ja pokażę Wam głośnik, który jest idealny dla mnie.